

Co Słychać

DWUTYGODNIK STRESZCZEN

.. The.. Polish Fortnightly Digest



Nr. 9/139

5·V·1944

6d

1. OD REDAKCJI.....	str. 226.
2. TRZECIE POWSTANIE - WSPOMNIENIA.....	227.
3. SOWIECKA POLITYKA W AZJI.....	233.
4. LOTNICTWO I POGODA.....	238.
5. ATLANTYCKI "WAŁ".....	240.
6. KONIEC ARTYKUŁU VOIGTA.....	243.
7. E. K. I. - OPOWIADANIE.....	248.

OKŁADKA: Kobiety śląskie w regionalnych strojach.

OD REDAKCJI.

Z okazji rocznicy Trzeciego Powstania na Górnym Śląsku, podajemy wspomnienia jednego z uczestników.

Na pułkach księgarskich ukazały się poezje Adama Mickiewicza, nakładem Składnicy Księgarskiej p. A. Laszkowskiej. Włączamy do numeru dzisiejszego kilka stron tych pięknych wierszy. Ze względów technicznych nie mogliśmy złożyć ich w jedną całość.

Dla Czytelników indywidualnych załączamy bezpłatnie, wydany przez "Co Słyszać" obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Obrazek ten w formacie małym i pocztówkowym jest do nabycia w naszej administracji, w księgarniach polskich, kioskach i świetlicach.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ.

Przechowalnia bagażu dla wszystkich żołnierzy W. Pol.
/Względnie dla wszystkich innych, mających w posiadaniu bagaż żołnierzy Wojsk Polskich.

Przechowalnia i organizacja transportu do Polski po wojnie osobistego bagażu żołnierzy Wojsk Polskich.

Polski Czerwony Krzyż otworzył dla wojskowych przechowalnię ich osobistego bagażu w celu przewozu go do Polski po wojnie. O wszystkie szczegóły należy zwrócić się do kierownika pod adresem: 15, Rutland Street, Edinburgh /na wprost wjazdu na Princes Street Station/. Informacji udziela także Zarząd Główny P. C. K., 34, Belgrave Square, London, S. W. 1 i Delegatura P. C. K. na Szkocję - 7 S. E. Circus Place, Edinburgh.

Rozwiązanie KONIKÓWKI z Nru 6.: Oddając swe bazy na Azorach do użytku Anglikom, Portugalczycy stwierdzili, że honorują swe zobowiązania bez względu na to, kiedy je zaciągnęli.

Czas biegnie błyskawicznie. Życie niestety upływa nam zbyt prędko. I w jakich anormalnych warunkach. Tak czasem ciężkich, ale przy tym bogatych w całą masę zdarzeń niezwykłych, niecodziennych. Pokolenie ludzi, wchodzących w 1914 roku w życie przeżyło wiele... Jeżeli włączyć ostatnie powstanie na Górnym Śląsku, Polska miała siedm lat wojny, teraz już prawie pięć. Razem składa się to na potężny szmat czasu... Czasu, w którym człowiek nie jest pewny życia ani mienia. W którym wszystko wywraca się niemal w ciągu jednej nocy. Czyż to pokolenie skazane jest już do końca na cierpienia? Czy już nigdy dobrobyt i nieprzerwane domowe szczęście nie będzie jego udziałem?

Te pytania i myśli uderzają człowieka, gdy tak biegnie pamięcią wstecz i odtwarzają obrazy przeszłości. Tej dalekiej i tej wczorajszej.

Tak, ludzie, urodzeni w ostatnim dziesiątku ubiegłego stulecia przeszli wiele. W dzieciństwie rewolucja 1905 roku i strajki szkolne. Potem wojna wszechświatowa i wojny polskie. Wreszcie powstania na Śląsku....

Śląsk... Trzecie powstanie... Piękne, gorące dni majowe... Masowe przekraczanie granicy pod Sosnowcem... Obrazy tak dawne, a żywe w pamięci, jakby to było wczoraj.

Drugiego maja spotkałem na Marszałkowskiej starych druhów z P.O.W., z którymi w 21 pp. przeszliśmy razem kampanię ukraińską. W pierwszej chwili radość ze spotkania, oderwane pytania, stereotypowe odpowiedzi. Potem... Gdzie jesteś? Co porabiasz?

Chwilowo nigdzie i nic, ale jutro jadę na Śląsk. Na Śląsk?

Tak, na powstanie. Nie pojechałbyś z nami? Z wami? Na powstanie?

Krótki namysł. W myśli przewija się spokojnie już prowadzone, unormowane życie. A tu znowu ciągnie człowieka. Do nowych przygód, do nowej niewiadomej.

"Tam potrzeba ludzi", przerywa przyjaciel milcze-

nie.

"Potrzeba ludzi. powiadasz"? A co będziemy robi-
li?

"Będziemy się bili".

"Tak, ale jaką nam dadzą robotę"?

"Roboty aż za wiele. Brak oficerów. Każdy bę-
dzie przyjęty z otwartymi rękami".

"Tak sądzisz!?"

Rzucam więc znowu pracę, po raz trzeci rozpocze-
te studia i jadę.

Trzeciego maja zameldowaliśmy się w Kwaterze
Głównej.

Rozdzielono nas. Mnie skierowano do dowództwa
Północnej Grupy. Już nie pamiętam, gdzie to było.
Jakiś zamek, należący do niemieckiego magnata. Stamtąd
dostałem polecenie zameldowania się w Podgrupie
/pułk/. Przyjął mnie dowódca, chłop jeszcze młodszy
ode mnie. Tytułowano go kapitanem. Pan Bóg go wie,
jaką rangę piastował w rzeczywistości. Ale jak na
dowódcę pułku, to i kapitan nie za wiele.

Krótki wywiad co do moich uzdolnień, służby i
możliwości, poczym dostaję rozkaz udania się do
Oleśna /Rosenberg/ na zastępcę dowódcy 3-go batalio-
nu.

Pojechałem. Trudno mi dziś przypomnieć sobie
nazwisko dowódcy i nawet jego wygląd. Był to
były sierżant armii niemieckiej. Po dwóch dniach
został on odwołany do Naczelnego Dowództwa, a ja
objąłem batalion i komendę miasta.

Z górą dwa tygodnie przeszły na organizowaniu
się i zbrojeniu. Tylko drobne walki patroli, zapasa-
czających się w stronę Kluczborka, miały miejsce w
tym czasie. Do batalionu napływali ciągle nowi
ludzie, ze wszystkich stron Polski. Chłopaki z
warszawskiego Powiśla, uczniacy z Częstochowy, wiesz-
cie kadeci ze Lwowa... Ci ostatni na "polski" urlop.
Najgorszy kłopot miałem z chłopcami, liczącymi 14
czy 15 lat, starającymi się wmówić w nas, że już
mają osiemnaście. Ale jakoś dla każdego znalaz-
ło się miejsce i karabin z ładownicą na dodatek.
I stworzył się w krótkim czasie batalion, liczący
tysiąc chłopca, podzielony na cztery kompanie.

Wszystkie według dzielnic. Miałem więc kompanię, złożoną z samych Ślązaków, drugą mieszaną - Ślązacy z Poznańczykami - że to łatwiej się mogli dogadać po niemiecku. Trzecią - Częstochowską, w której byli i lwowscy kadeci i wreszcie czwartą, najbardziej zajadłą i wojowniczą, złożoną z warszawskich "knajaków".

Tych ostatnich nie można było posłać na patrol, mający za zadanie zasięgnięcia języka i przyprowadzenia jeńca. Zawsze przytaszczyli jakiś karabin maszynowy, karabiny ręczne, piękne mundury niemieckich "zielonków", nie doczekaliśmy się jednak od nich nigdy choćby jednego żywego, nietkniętego Niemca. "Nie chcieli się poddać" twierdzili uczestnicy patroli. Później dopiero się dowiedziałem, że Niemcy mieli tak piękne buty, że szkoda było brać ich do niewoli żywych.

Dobrze zorganizowana w końcu maja Podgrupa z pełnym stanem liczebnym ruszyła naprzód za cofającymi się Niemcami. Kierunek marszu w stronę Kluczborka. Batalion trzeci zajął pozycje w okolicy Boroszowa /Boroschau/. Miejsce postoju dowództwa batalionu wyznaczono w majątku tejże nazwy, należącym do jakiejś zniemczonej polskiej rodziny. Aczsolwiek kwatera leżała o kilometr za linią, musieliśmy stale czuwać, aby nie dostać się w łapy niemieckie, w razie mocniejszego ataku i przerwania naszej linii.

Niemcy jednak w tej części Śląska nie byli widocznie zbyt mocni, gdyż na początku nawet przed słabym uderzeniem z naszej strony natychmiast się cofali.

W drugiej połowie czerwca trudno już było coś zrobić, albowiem Komisja Koalicyjna wszędzie wtykała swój nos, a oddziały brytyjsko-włoskie zajmowały co raz więcej miast, położonych za naszą linią.

Nasi chłopcy, szczególnie z poza Śląska, zaczęli się niecierpliwić. Chcieli iść na Kluczborek, pragnęli zdobyć choć jedno miasto w prawdziwej, dobrej walce. I szczęście się uśmiechnęło.

Batalion otrzymał rozkaz z dowództwem podgrupy ażeby zająć jakieś nowe miejscowości. Rozkaz przesłany był telefonogramem przez 2-gi batalion, albowiem sabotażyści niemieccy przerwali nam komunikację

telefoniczną. Adiutantura z dowództwa 2-go baonu przekreśliła nazwy miejscowości. Te, które batalion miał zająć, leżały o parę kilometrów w bok. Podane w telefonogramie znajdowały się w rękach Niemców. Rozkaz otrzymałem o pierwszej w nocy. Mając trudności sprawdzenia z powodu nienaprawionej jeszcze linii i sądząc, że jest w toku ogólna nasza ofensywa, nie mogłem zwlekać.

Po krótkiej naradzie z dowódcami kompanii, postanowiłem atakować o świcie, t.j. za dwie godziny. Kompanie otrzymały ścisłe rozkazy i kierunek natarcia. Gdy brzask rozświetlał ciemności krótkiej lipcowej nocy, batalion wymaszerowywał w skupieniu i ciszy do jego pierwszej, stoczony w powstaniu, poważnej walki. W tej to bitwie okazały się wspaniałe walory żołnierza polskiego, weterana sześć lat trwającej wojny.

Brzask. Cienie nocy pomału pierzchają i odbłask zaczyna padać na twarze żołnierzy. Twarze poważne, skupione. Patrzą się w moje oczy, ja w ich. Z jednego promieniuje spokój, determinacja, w innych błyszczą radość. Nadchodzi tak długo wyczekiwana bitwa...

Tylko dwiema kompaniami dowodzili oficerowie: kompanię śląską prowadził adiutant - ppor. Wojtek, kompanię warszawską - ppor. Taszkawski. Dwie pozostałe, które natrafiły na najsilniejszy opór i poniosły najcięższe straty, prowadzone były przez sierżantów.

Wydaje się, iż w obliczu walki, w obliczu możliwości spotkania śmierci, człowiek nabywa dodatkowy zmysł, coś jakby jasnowidzenie. Gdy tak batalion defilował poprzez wieś, gdy kompania z kadetami zrównała się z miejscem, na którym stałem, mimowoli spojrziałem na zastępcę dowódcy kompanii - kadeta sierżanta X. Nie pamiętam dzisiaj jego nazwiska. Był to piękny chłopak. Miły, rycerski, kochany przez wszystkich żołnierzy kompanii. Gdy patrzył w moje oczy, ujrzałem w nich śmierć... Przez cały czas toczony walki byłem o niego niespokojny i gdy dowód-

ca kompanii nadesłał raport po zajęciu wyznaczonej pozycji i podał ilość strat, wiedziałem, iż pośród nich jest kadet-sierżant X. Jego pogrzeb, który odbył się w parę dni później w Warszawie, był wspianą manifestacją na cześć Górnego Śląska i walczących Powstańców...

Zaskoczenie Niemców było całkowite. Zdobyliśmy mylnie podane nam miejscowości i mogliśmy wtedy także zająć i Kluczborek, leżący o jakie 30 kilometrów dalej. Panika wśród Niemców zapanowała absolutna. Zdobyliśmy ponad dwadzieścia karabinów maszynowych, masę amunicji i wspaniale zaopatrzone magazyny. O czwartej po południu w doskonałym nastroju zabraliśmy się do spożycia dobrze zasłużonego posiłku. Nasze straty wynosiły kilkunastu zabitych i trzydziestu kilku rannych. Niemców, samych trupów policzyliśmy kilkaset, jeńców wpadło w ręce nasze niewiele i to tylko na odcinku kompanii śląsko-poznańskiej. Jakos tam widocznie się żatwiej dogadali.

Radość nasza i nadzieje na pójście dalej nie trwały długo. Nad wieczorem nadjechała... Komisja Aliancka, złożona z trzech oficerów: Anglika, Francuza i Wrocha. Przyjąłem ich dobrym obiadem, ale nie chciałem się wycofać z zajętych miejscowości bez rozkazu dowódcy podgrupy. Tenże otrzymałem następnego dnia rano i wtedy też wyjaśniła się popełniona omyłka. Okazało się, że mój batalion był jedyną jednostką atakującą, ale bataliony pomocne też się posunęły naprzód, albowiem Niemcy na całej linii się wycofali.

Z pośród Komisji najbardziej niezadowolony z naszej akcji był Anglik. Francuz z Wrochem klepali się po brzuchu po dobrym obiedzie i popijali sobie za nasze zdrowie. Anglik miał powody do niezadowolnienia, gdyż dwa dni przedtem zapewniał Niemców, że żadna akcja zaczepna z naszej strony im nie grozi.

Po wycofaniu batalionu do rzeczywistych miejsc postoju nawet i Anglik się uspokoił i wyraził swój podziw dla bitności naszego żołnierza. Dziwił się tylko, skąd tacy cywile w cyklistówkach i kapeluszach znajdują się na strategii. Objaśniłem go, że i bez akademii wojskowej, każdy żołnierz wie, że naj-

lepiej bić wroga... od tyłu.

A wielka szkoda, że Komisja Koalicyjna stała na naszym karku. Oddziały Grupy Północnej mogły dojść wtedy prawie bez trudu pod sam Wrocław. Miałoby to wielkie znaczenie psychologiczne i kto wie, czy nie wpłynęłoby znacznie na losy późniejszego podziału Śląska.

Z tej, w większości rolniczej części Śląska Polsce przypadł w udziale malarzki skrawek koło Lublińca, Oleśno i Kluczborek pozostały przy Niemcach.

Piękne są okolice w tej rolniczej części prastarej Dzielnicy Piastowskiej. I wszędzie tam na wsi polski lud, modlący się w starych, liczących ponad 500 lat drewnianych kościółkach, w których jeszcze dziś odnaleźć można wiele zatartych przez czas - polskich napisów.

Szkoda tego kawałka ziemi. Od czasu do czasu napotkać tam można brzydkie, ciężkie w budowie teutońskie zamki i pałace, należące do magnatów niemieckich, władających wszystkimi wielkimi majątkami. One mają służyć za dowód, że ziemia ta jest niemiecka?

W armii amerykańskiej wyznaczono dobrych psychiatrów dla selekcji żołnierzy do poszczególnych zadań na różnych frontach wojennych.

Po przeprowadzeniu kilku prób, profesorowie złożyli swój raport.

Najłatwiejszym sposobem uznania żołnierza nadaje się lepiej do walki w dżungli, pustyni czy też na północy, jest zadanie mu pytania:

"Jaki rodzaj klimatu mu najbardziej odpowiada - gorący czy zimny?"

/Journal of the American Medical Association/.

Żołnierza z Florydy przetransportowano do obozu w Colorado. Gdy zrobiło się zimno, napisał on do domu o pięknych dwóch calach puszystego śniegu. Później pisał do swoich o dziesięciu calach, pokrywających grunt, jakby przepięknym białym całunem.

Po trzech tygodniach rodzice otrzymali nowy list

"Czy pamiętacie o śniegu, o którym pisałem wam w moich poprzednich listach? Well, we now have three feet of the damn stuff."

Sowiecka polityka w Azji.

3.

Podajemy dalszy ciąg streszczonych wyjątków z ciekawej książki Louis Fishera: MEN AND POLITICS. Dzisiejszy artykuł dotyczy polityki sowieckiej w Azji, a w szczególności działalności Karachana i Borodina w Chinach. Karachan był przez pewien czas posłem sowieckim w Warszawie. Na temat Borodina i jego roli w Chinach ukazało się przed wojną kilka bardzo ciekawych książek, tłumaczonych również na język polski. Karachan stracony był w Moskwie w 1937 r.

W zakresie działalności Karachana były stosunki Sowietów z państwami azjatyckimi. Litwinow pilnował Europy. Cziczerin sprawował ogólne kierownictwo polityki zagranicznej Sowietów i nadzorował obydwu. Karachan sam był Azjatą, przystojnym, atrakcyjnym Ormianinem, prawnikiem z wykształcenia i synem bogatej rodziny. Miał piękną głowę z bujną, czarną jak kruk czupryną, równo podstrzyżoną brodą, dobrze utrzymane paznokcie, oraz duże białe zęby i szeroki uśmiech. Był on najlepiej ubranym bolszewikiem. Swobodny, pozbawiony urzędowej sztywności, przyjadelski i zdolny do wyśmiewania samego siebie. Pewnego razu opowiadał o sobie następującą historię:

Na początku swej dyplomatycznej kariery był sekretarzem sowieckiej delegacji, która w Brześciu nad Bugiem w 1918 r. prowadziła pertraktacje pokojowe z rządem niemieckim. Trocki nie zgodził się na niemieckie warunki. "Ani wojny, ani pokoju" - wypowiedział wówczas swe słynne zdanie. Bolszewicy nie będą prowadzić dalszej walki, lecz nie podpiszą również upakarzającego pokoju. W odpowiedzi gen. Ludendorff rozkazał niemieckiej armii wkroczyć do Rosji. Wtedy Lenin podjął rokowania na nowo. Trocki odmówił wyjazdu do Brześcia. Pojechali Joffe, Skodnikow, Cziczerin i Karachan. Tymczasem warunki Niemców i ich sojuszników Turków wzrosły. Turcy żądali oddania Karsu, Erzerumu i Ardaganu. Karachan przetelegrafował tę wiadomość do Lenina i podpisał swe nazwisko. Gdy depeza przybyła do Moskwy, brzmia-

Ża ona, że Turcy żądają Karsu, Erzerumu i Karachania. Lenin zaśmiał się i powiedział: "Doskonale! Któregoś dnia dam im Karachana".

Karachan wykonał dobrą pracę, jako ambasador sowiecki w Chinach. Chińczycy lubili go za jego serdeczność i stosunkowy brak powściągliwości. Był on dużo młodszy od Cziczierina i Litwinowa. /Miał 48 lat, gdy został stracony z rozkazu Stalina w 1937 r./

Pewnego razu, opowiadając mi o swej pracy w Chinach, Karachan powiedział: "Mam tu coś dla pana" i wyszedłszy do sąsiedniego pokoju, przyniósł stamtąd plik oryginalnych listów, które on i Cziczierin wymienili z Dr. Sun Yat-Senem, ojcem chińskiego ruchu narodowego. Zapytałem go, co mam z tym zrobić. "Niech pan weźmie je do domu i przepisz" - odpowiedział. Obawiając się zgubienia tych listów, ukradzenia lub spalenia ich, usiadłem w jego przedpokoju i przepisałem je. Nie publikowałem ich w mej książce "THE SOVIET IN WORLD AFFAIRS", gdyż sądziłem, że Karachan, może mieć z tego powodu przykrości. Jeden z tych listów pisany po angielsku, podpisany "L. Karachan" i datowany z Moskwy 23 września 1923 r. brzmiał w części jak następuje: "Drogi Dr. Sun: Nieobecność w Kantonie stałego i odpowiedzialnego przedstawiciela naszego rządu była od dawna dotkliwie odczuwana w Moskwie. Z chwilą mianowania M.M. Borodina poważny krok został zrobiony w kierunku...
.....Proszę uważać towarzysza Borodina nie tylko, jako przedstawiciela rządu, lecz równocześnie jako mego osobistego przedstawiciela, z którym może Pan mówić równie swobodnie jak ze mną."

Rzecz polegała na tym, że Borodin, który kierował rewolucją chińską aż do 1927 r., nie miał być uważany za urzędowego przedstawiciela Sowietów. Rząd sowiecki stale wypierał się go i twierdził, że jest on przedstawicielem trzeciej międzynarodówki /Kominternu/.

W jakiś czas później Karachan tytułuje w liście Dr. Sun "Drogi Towarzyszu", co oczywiście jest dość naturalne dla bolszewika, piszącego do przyjaciela, a nie burżuja. Sun Yat-Sen w odpowiedzi również pisze do Karachana: "Drogi Towarzyszu".

List Dr. Sun a z 17 września 1923 r. do Karachana w Moskwie zawiera taki ustęp: "To, co teraz piszę jest ściśle poufne. Kilka tygodni temu wysłałem identyczne listy do towarzyszy Lenina, Cziczereina i Trockiego, polecając w nich generała Chiang Kai-Szeka, mego szefa sztabu i zaufanego agenta. Wysłałem go do Moskwy dla przedyskutowania sposobów i środków, przy pomocy których nasi tamtejsi przyjaciele mogliby mi pomóc w mej pracy w moim kraju". Chiang otrzymał to, po co przyjechał. Moskwa dała mu broń, pieniądze i wojskowych doradców. To małżeństwo z rozsądku pomiędzy nim a bolszewikami trwało aż do 1927 r., gdy Chiang zerwał z Rosjanami, z chińskimi komunistami, z lewym skrzydłem Kucmintangu, nawet z wdową po Dr. Sun Yat-Senie, który go wysłał do Moskwy. Sam Borodin musiał wtedy uciekać przez pustynię Mongolską do Moskwy.

Udział Rosji sowieckiej w chińskiej rewolucji jest sensacyjnym rozdziałem polityki zagranicznej Kremlu. Michał Borodin zna dokładnie całą tę historię. Inni znali poszczególne fragmenty, lecz nie chcieli mówić na ten temat. Musiałem więc zabrać się do głównego aktora. Pierwszą próbę zrobiłem w 1927 r., lecz nie udało mi się nic zrobić aż do 1929. Borodin, będąc z natury skrytym człowiekiem, stał się jeszcze bardziej ostrożnym i wykrętnym, dzięki swej pracy w Chicago i w Chinach. Pierwsze spotkanie miałem z nim 26 lutego 1929 r. Miałem z nim wywiady później 13 i 25 marca, 15 kwietnia, 23, 24 i 27 maja. Coraz bardziej zajmowało go opowiadanie o swej pracy i nasze rozmowy, trwające po trzy, cztery godziny, stawały się coraz częstsze: odbyły się także 29 maja, 4 i 26 czerwca. Nigdy nie wyznaczał mi określonego czasu na spotkanie. Mówił: "Proszę zatelefonować w piątek wieczorem". Telefonowałem. Jego żona Fannie, albo syn, pracujący w GPU, przyjmowali telefon i po naradzie z Borodinem odpowiadali: "Towarzysz Borodin prosi, aby pan zatelefonował do niego jutro o dziewiętej rano". Telefonowałem. Odbierał telefon i mówił: "Proszę zatelefonować za 20 minut. Być może,

że będę wezwany na posiedzenie". Często odraczał spotkanie już wyznaczone. Lecz gdy go wreszcie dopadałem, byłem wynagrodzony sowicie. Lubił mówić i grać rolę wyroczni. Nasze spotkania odbywały się zwykle rano. Ubierał się w mej obecności, jadł śniadanie, a potem chodził wzdłuż i wszerz po ogromnym pokoju w domu Najwyższej Rady Gospodarczej przy ulicy Szeremietiewskiej. Ja robiłem notatki z taką szybkością, że dostawałem skarczu mięśni w dłoni. Służąca wchodziła i zabierała materace, na których spało w nocy... Czasami po pokoju biegała wesoła szara myszka...

Borodin jest wysoki, barczysty w ramionach, posiada kudłatą, zwichrzoną głowę i grube wąsy, podobne do wąsów morsa. Mówi dobrze po angielsku, przeplatając gęsto amerykańską gwarą i często wtrąca takie zdania: "You know what I mean, eh?" albo "Get me?"

Na wszystkich, których spotkał w Chinach, wywarł wrażenie osobistości wielkiej miary. Robił wrażenie zarówno na Chińczykach, jak i na bystrych Amerykanach, jak Lewis Gannett i agenci Standard Oil Co. Zdobył wszystkich chińskich generałów i owijał ich na swym małym palcu. Na wiele lat po opuszczeniu przez Borodina Chin sam dźwięk jego nazwiska wywoływał przerażenie chińskich polityków i robotników. Był on rzeczywistym dyktatorem narodowych Chin. Wjechał z Chin w pośpiechu, gdyż Chiang skierował chińską rewolucję na prawo i groził ścięciem wszystkim sowieckim doradcom i pomocnikom.

"Będziemy z powrotem w Chinach" przepowiedział Borodin w 1929 r. i zacytował oświadczenie Goerge'a Sokolskiego, że: "Chiang Kai-Szek nie potrafi niczego zrobić bez Rosjan". Obydwie przepowiednie sprawdziły się. "To nie jest moja osobista sprawa". Wiedział już, że jego rola jest skończona i gdy Chiang poprosił o pomoc sowiecką, Borodin został w Moskwie.

Poglądy Borodina były szlachetną mieszaniną trockizmu i stalinizmu. Powtarzał za Trockim, że każdy "średni" chłop rosyjski pragnie zostać kułakiem czyli bogatym chłopem, podobnie jak "mała świnia chce zostać dużą świnią". Dlatego też chłop musi być

"odchłopiony" i uprzemysłowiony. Borodin oświadczył: "Sprawa nie polega na tym, aby rosyjskich chłopów uczynić szczęśliwymi albo też wytworzyć spójnię między robotnikami i chłopami. Rząd sowiecki musi robotnikom dać małe racje żywnościowe, uprzemysłowić rolnictwo i czekać na zmiany w całym świecie, które muszą przyjść w ciągu pięciu, dziesięciu lat".

To było stanowisko trockistów. Lecz równocześnie przyznał on, że Radek, ekspert Trockiego do spraw chińskich, "uwikłał się w gwałtaninie sprzeczności" /ulubiony zwrot w żargonie komunistycznym/. "Jak może Radek - wykrzykiwał Borodin - wymagać od nas stworzenia socjalistycznego państwa w dalekim Kwantungu w południowych Chinach, jeżeli uważa on, że socjalistyczne państwo nie może być utrzymane w jednym wyłącznie kraju, nawet w Rosji?"

Sowietyzacja Chin była mrzonką i gdy Chiang odmówił współdziałania w stworzeniu liberalnych, ludowych Chin, w których chłopci posiadaliby ziemię a obcy imperialiści byliby przepędzeni, gra komunistyczna skończyła się. Robotnicy i chłopci chińscy byli za słabi. Bez Chianga, to znaczy bez burżuazji, nie można było dokonać niczego. Chiang nie mógł zrobić niczego bez Rosjan; równie prawdziwym było, że Rosjanie nie mogli zrobić niczego bez Chianga.

Gdy wspomniałem o trudnych warunkach gospodarczych w sowieckiej Rosji, Borodin zgodził się i powiedział: "Prawdopodobnie nie nastąpi rozwiązanie tej sprawy, dopóki nie przyjdzie rewolucja w innym kraju". Myślał przez chwilę. "Lecz nie na wschodzie. Rewolucja na wschodzie, na przykład w Chinach, obarczyłaby tylko Moskwę odpowiedzialnością. Nie byłaby to rzecz zła, lecz to, czego nam rzeczywiście potrzeba, to jest rewolucja w Wielkiej Brytanii lub w Niemczech".

Borodin studiował sprawę Indii w tym czasie, w którym widywałem się z nim. Powiedział, że Imperium Brytyjskie jest stare. "Brytyjska Wspólnota Narodów jest tylko innym imieniem rodziny, której dzieci - Dominia, podrosły i wkrótce pójdą swą własną, oddzielną drogą". Gdy pewnego razu powiedziałem do Cziczenina "Bolszewicy myślą zbyt logicznie", poprawił mnie i powiedział: "Pan ma na myśli zbyt prymitywnie".

Lotnictwo i pogoda.

4. M. P.

Wynalazczość ludzka w zakresie lotnictwa i użycia go w wojnie poszła bardzo daleko. Technika budowy samolotów, ich uzbrojenie obronne i zaczepne, technika bombardowania celów ziemnych, nawigacja w dzień i w nocy, wyszkolenie załóg - we wszystkich tych dziedzinach w czasie obecnej wojny nastąpił kompletny przewrót, a jednocześnie ogromny postęp. Z jedną rzeczą twórczy umysł ludzki nie może się uporać: z pogodą, warunkami atmosferycznymi i klimatycznymi. Oczywiście nauka meteorologii oddaje ogromne usługi w zakresie przepowiadania pogody w pewnych obszarach, a metody pracy w tej dziedzinie również uległy ogromnemu rozwojowi. Lecz pomimo wszystko, meteorolodzy nie potrafią przygotować czy też "zrobić" pogody i odpowiednich warunków atmosferycznych nad pewnym obszarem, by w ten sposób ułatwić pracę lotnictwu. Niewątpliwie więc ta dziedzina wiedzy w najbliższej przyszłości będzie przedmiotem zacieklej badań naukowych i stanie się polem wielu śmiałych eksperymentów. Korespondent lotniczy OBSERVERA zajmuje się właśnie tym zagadnieniem na tle pracy latających Fortec nad Europę.

W chwili, gdy to pisanym, latające Fortece, startując z baz angielskich, dokonują bez osłony własnych myśliwców wielu udanych wypadów niszcycielskich na cele i obiekty wojskowe nie tylko w północnej Francji, lecz docierają również daleko w głąb samej Rzeszy. Podczas pewnej wyprawy napotkały nad Morzem Północnym na dwadzieścia z górą Focke-Wulf'ów 190s i strąciły sześć z nich bez strat własnych, mając zaledwie kilku rannych z załogi. Stało się to możliwe dzięki uzbrojeniu Fortec w 12 karabinów maszynowych, kalibru 0.5 cala /13mm/ oraz jeden karabin kalibru 0.303 cala. Nie znaczy to jednak, że mogą one operować całkowicie swobodnie i bez strat od ognia artylerji przeciwlotniczej nieprzyjaciela, który posiada duże nasilenie i znaczną dokładność. Prawdopodobnie dlatego Fortece zmuszone są latać

powyżej zasięgu ognia artylerji przeciwlotniczej, gdzie poza tym posiadają stosunkowo jednakową zwrotność z myśliwcami nieprzyjaciela. Te ostatnie bowiem na dużych wysokościach mają utrudnione manewrowanie, a szybkość ich wznoszenia się w górę jest znacznie zmniejszona.

Ważną rolę dla Fortec odgrywa dobra widoczność, a bez niej trudno o skuteczne bombardowanie; najbardziej bowiem precyzyjny celownik bombardierski staje się we mgle bezużyteczny. Dokładne bombardowanie wymaga idealnego wyrównania samolotu tuż przed i w momencie wyrzucenia bomb, inaczej bomby chybiają celu. Na wysokości 30.000 stóp potrzebna jest daleko większa dokładność celowania, aniżeli na 10.000, względnie 12 - 14.000 stóp /normalna wysokość bombardowania/. Wielki wpływ na samolot i jego równowagę ma atak myśliwców nieprzyjacielskich i wybuchy pocisków artylerji przeciwlotniczej w pobliżu maszyny. Wpływa to ujemnie na jej lot, analogicznie jak i gwałtowne podmuchy wiatru i burze atmosferyczne.

Dotychczasowe wyczyny Fortec otwierają nowe perspektywy dla techniki dziennego bombardowania bez oszoły własnych myśliwców. Słabą stroną jest niepewność warunków dobrej pogody i widoczności nad celem. Lecąc nisko, Fortece narażają się na zniszczenie przez ogień artylerji przeciwlotniczej. Niemcy próbowali pokonać te trudności przy pomocy bombardowania na "fix" /na ustalony cel/ przy pomocy namiaru radiowego. Zdaje się, że obie strony dążą do usprawnienia i udoskonalenia działalności lotnictwa w każdych warunkach atmosferycznych. Przy większym nasileniu dziennego bombardowania /naprz. pięćset Fortec naraz/ na obiekty komunikacyjne i stacje rozrządowe, można odnieść znaczny efekt psychiczny i propagandowy w stosunku do nieprzyjaciela. Lecz niestety, chociaż można spodziewać się dobrej widoczności nad celem, to jednak nie można jej wówczas przygotować i cała operacja staje się często bezowocną.

Major Severasky zapomniał o tym w swej wizji wojny jedynie przy pomocy lotnictwa.

Inną sprawą jest osiągnięcie przewagi nad nieprzyjacielem, a zupełnie inną przewyższenie zmienności klimatu europejskiego.

Atlantycki "Wał".

M.P.

Nazwa "Wał Atlantycki" /po niemiecku - Wał Zachodni/, używany dla określenia przeciwnawazynnych niemieckich umocnień obronnych w Zachodniej Europie, może dać zupełnie fałszywe wyobrażenie o ich charakterze. W rzeczywistości bowiem, "wał" ten nie ma nic wspólnego z jakąś wyraźnie zakreśloną linią umocnień, jest tylko starannie przemyślanym systemem obronnym, głębokości od trzydziestu do sześćdziesięciu mil. Najeżone fortami wybrzeże morskie stanowi jego twardą skorupę, rdzeń jednak składa się z pewnością z ruchomych rezerw, które mają być z błyskawiczną szybkością przerzucane na zaatakowane odcinki.

Niemcy zagrożeni są inwazją na przestrzeni prawie 1.600 mil, od Pirenei na południe, do czubka Norwegii na północy. Tak długa linia frontu stwarza dla Aliantów pewne możliwości zastosowania taktyki zaskoczenia. Dla zrównoważenia niewątpliwych korzyści tej przewagi, Niemcy uczynią wszystko, co będzie w ich mocy, ażeby wykryć koncentracje wojsk alianckich w ich bazach wyjściowych.

W miarę rozwoju działań inwazyjnych niemieckie Naczelne Dowództwo będzie dążyło do wysledzenia ruchów wojsk anglo-amerykańskich i stwierdzenia liczebności oddziałów, zaangażowanych w poszczególnych punktach lądowania.

Szybkie zebranie i zestawienie informacji będzie miało dla Niemców ogromne znaczenie. Dla osiągnięcia tego, wykorzystają oni swych szpiegów, rozpoznania powietrzne, patrole morskie, specjalne instrumenty i obserwatorów naziemnych.

Atak wojsk alianckich na "Fortecę Europejską" spotka się z natychmiastowym przeciwdziałaniem nieprzyjaciela. Działania wroga będą zapewne obejmowały bombardowanie baz załadunkowych dla przeszkodzenia gładkiemu rozwojowi akcji, oraz walkę ze zbliżającą się flotą inwazyjną za pośrednictwem szybkich okrętów nawodnych, łodzi podwodnych, min,

samolotów i dalekonośnych dział.

Po dotarciu do nieprzyjacielskich brzegów, wojska nasze napotkają na różnego rodzaju przeszkody, jak szerokie pola minowe, żelbetowe pill-boksy, umocnione budynki, oraz rowy przeciwczołgowe. Ładujące jednostki znajdują się pod krzyżowym ogniem z fortów i umocnionych punktów. Ogień ten osłaniać też będzie specjalnie pola minowe, rowy przeciwczołgowe i inne przeszkody. Należy być przygotowanym, że posuwające się armie inwazyjne napotkają na dużej głębokości na podobnie umocnione ośrodki oporu, bronione pierścieniem zaporowego ognia nieprzyjaciela. Poza tym wielką przeszkodą dla szybkiego posuwania się będą blokowane drogi i powysadzane mosty.

Armię inwazyjną trzeba stale zaopatrywać w wielkie ilości żywności, amunicji, paliwa oraz wszelkiego sprzętu. W związku z tym konieczne będzie szybkie zajęcie portów i punktów lądowania, nadających się do wyładowywania ciężkiego sprzętu. Należy więc oczekiwać najzacieklejszego oporu nieprzyjaciela w portach, przystaniach i przy ujściach rzek. Miejsca te będą silnie bronione, urządzenia portowe według wszelkiego prawdopodobieństwa niszczone, przystanie zaś i ujścia rzek blokowane.

Bierną obronę jest przeważnie niecelową. Niemcy więc z pewnością przygotowują się do przeciwnatarcia.

Zagrożeni równoczesnym natarciem z lądu i z powietrza, będą oni mieli pod ręką ruchome odwody. Od możliwości szybkiego ich przemieszczenia będzie w znacznej mierze zależało powodzenie lub niepowodzenie niemieckiego planu obrony.

O ruchach rezerw decydować będzie szybkość z jaką uda się nieprzyjacielowi zebrać wiarygodne informacje o zamierzeniach Aliantów. Kilka początkowych fałszywych raportów może przesądzić o losie walki. Prawdopodobnie więc Alianci uczynią wszystko co leży w ich mocy, ażeby zmylić Niemców od pierwszego momentu działań inwazyjnych.

Odwody niemieckie składać się będą z oddziałów czołgów i piechoty zmotoryzowanej, rozmieszczonej, wraz z pomocniczymi broniąmi, w odległości jakichś dwudziestu mil od wybrzeża. Są to odwody

taktyczne. Potężne odwody strategiczne zmasowane jak wskazują najświeższe informacje, w dolinie Rodanu i na równinach Paryża, skąd będą mogły być rzucone w kierunku północnym lub południowym. Naczelne dowództwo niemieckie zakłada widocznie, że odwody te będą w stanie związać główne siły inwazyjne.

Niezależnie od konieczności zapewnienia sobie wczesnych i ścisłych informacji, muszą Niemcy utrzymywać swe odwody w stanie możliwie najwyższej ruchliwości. Cały sens ich istnienia polega na możliwości pchnięcia ich do bitwy we właściwym miejscu i czasie. Realizacja tego zależy będzie, między innymi, od stosunku sił powietrznych walczących stron, możemy się zaś spodziewać, że Alianci będą mieli tu przewagę. Decydującym czynnikiem będą, oczywiście, w tej wojnie wojska lądowe. Zdobycie jednak od pierwszej chwili i utrzymanie przewagi lotniczej musi być zapewnione. Lotnictwo alianckie musi oczyścić niebo z niemieckich maszyn. Działać jako lotna artyleria, zdobywać informacje i umożliwiać nieprzyjacielowi operowanie swymi ruchomymi jednostkami.

Zwycięstwa nie da się osiągnąć przy pomocy jednego tylko rodzaju broni. Wszystkie siły walczące muszą działać, jak jedna.

Po upadku Francji prasa niemiecka oświadczyła: "Francja musiała upaść, ponieważ mocarstwo, stosujące wyłącznie taktykę obronną, zostanie zawsze w końcu pobite przez wytrwałego i śmiało atakującego przeciwnika. Najlepszy bowiem nawet system obrony, przemyślany na wiele dziesiątków lat, musi posiadać swoje słabe punkty".

Jeżeli chodzi o strategię, zdanie to posiada wiele słuszności. Dużo jednak już czasu upłynęło od chwili jego wygłoszenia i sytuacja zmieniła się radykalnie.

Brzegi Atlantyku, podobnie jak i brzegi włoskie, posiadają swoje słabe punkty; nie znaczy to jednak, ażebyśmy mogli oczekiwać łatwego zwycięstwa.

Ciekawy artykuł powyższy na temat inwazji Kontynentu napisał Major C. B. Thorne. Ogłosił on go pod tytułem "Germany's Atlantic Defences" w dwutygodniku "Free Europe".

Koniec artykułu Voigta.

W numerze dzisiejszym zakańczamy artykuł redaktora F. Voigta, ogłoszony w swoim czasie w "The Nineteenth Century and After".

Deklaracja wspomina o Związku Patriotów Polskich w Rosji, jako o organizacji zapewniającej "możliwości odrodzenia Polski". Równocześnie "emigracyjny rząd polski określany jest jako "niezdolny do ustabilizowania przyjaznych stosunków" z Rosją, oraz niezdolny do "zorganizowania czynnej walki przeciw Niemcom bezpośrednio w Polsce".

Znaczenie tego oświadczenia jest szczególne, gdy przypominamy sobie wypadki w Jugosławii.

To rząd rosyjski zerwał stosunki z rządem polskim tylko dlatego, że ten ostatni zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o zbadanie losu 8.300 oficerów polskich; byli oni jeńcami wojennymi w niewoli rosyjskiej i znikli na wiosnę 1940 r.; od tego czasu ich rodziny w Polsce przestały otrzymywać jakiegokolwiek wiadomości. Rosjanie nigdy nie wyjaśnili tego zniknięcia, ani nie podali żadnej relacji o losie oficerów. Twierdzenie, że zostali oni wymordowani przez Niemców nie jest przekonujące, ponieważ Niemcy uderzyli na Rosję dopiero latem w 1941 roku.

Prośba polaka o zbadanie sprawy przez Genewę, może była a może nie była - nieprzemysłana. Lecz nie usprawiedliwia ona zerwania stosunków dyplomatycznych. Sprawa ta była wytłumaczeniem, ale nie przyczyną.

Gwałtowność i zawziętość ataków, idących z rozgłośni rosyjskich i z prasy sowieckiej - ataków, które osiągnęły swój szczyt w deklaracji - nie pozostawia wątpliwości co do powziętej decyzji eliminowania prawnego rządu polskiego i zastąpienia go rządem, złożonym z osób wybranych ze środowiska Związku Patriotów Polskich i utrzymywanych pod kontrolą rosyjską. Lecz tak długo, jak prawowity rząd polski jest uznawany przez innych Sprzymierzeńców i posiada pełne poparcie społeczeństwa polskiego,

tak długo nie może być polskiego Tity. Tito możliwy jest tylko w kraju skłóconym wewnątrz, gdzie rząd konkurencyjny może powstać i znaleźć posłuch dla siebie.

Polska nie jest też w stanie wojny domowej, jak jest Jugosławia. Polska Armia Podziemna jest potężną, zorganizowaną siłą, kierowaną z Londynu. Sytuacja o charakterze wojny domowej istnieje tylko we wschodniej Polsce. Ruch partyzancki, składający się z różnego typu dezertersów, niewielu komunistów polskich i prawdopodobnie z niewielu Ukraińców, a głównie ze spadochroniarzy rosyjskich, wytwarza rodzaj anarchii w okupowanej przez Niemców wschodniej Polsce. Ale ruch ten nie jest w stanie nakazać posłuch dla polskiego "Tity".

Jak wynika z deklaracji, Polska, zmuszana do zrzeczenia się swych wschodnich obszarów, ma odzyskać "odwieczne polskie ziemie, wydarte jej przez Niemców", aby "zjednoczyć cały naród polski" i zabezpieczyć Polsce wyjście na morze Bałtyckie.

Niewiadomo o których ziemiach jest mowa. Bowiem te, które Polska straciła "w dawnych czasach" zamieszkałe są przez Niemców i odzyskanie ich nie przyczyniłoby się do zcalenia Polaków - jeżeliby nie byli deportowani niemieccy mieszkańcy tych ziem.

Wydaje się, że Prusy Wschodnie to jedna z tych ziem, które miałyby się stać polskimi. 18 czerwca u. r. rozgłoszonia moskiewska nadała oświadczenie o celach Związku Patriotów Polskich, będącego jedynie narzędziem rosyjskiej polityki zagranicznej. Wedle tego oświadczenia, Polska winna otrzymać Prusy Wschodnie /jako wyjście na Bałtyk/. Ale Prusy Wschodnie są niemieckie, bardzo niemieckie. Wynikałoby z tego, że zasady etnograficzne, stosowane do wschodniej Polski, nie dotyczą Polski zachodniej. Wedle tegoż oświadczenia radiowego, Polska ma odzyskać także Śląsk, który posiada w najlepszym wypadku ludność mieszaną, złożoną z Polaków i Niemców. Rząd polski konsekwentnie i stale odmawiał zgody na przyjęcie zasady rekompensaty, to znaczy - poświęcenia terytoriów polskich w zamian za terytoria obce.

Jeżeli Polska ma prawo do odszkodowania, a ma je

bardziej niż którykolwiek z sojuszników z racji strat i szkód, zadanych jej przez Niemców, - to nie może jednak być takiego odszkodowania za swe własne wschodnie obszary.

Zaakceptowanie możliwości rekompensaty za własne terytoria, byłoby równoznaczne z przyznaniem tytułu prawnego nieprawnemu aktowi grabieży. Ponadto Polska, osłabiona niezmiernie przez taką stratę, stałaby się bardziej bezbronna, jako sąsiad mściwych Niemców. Przez stratę okrążyło lo milionów swych własnych obywateli - co prawda w dużej mierze Ukraińców i Białorusinów, którzy jednak w 1939 r. narówni z Polakami stawili czoło wspólnemu wrogowi - Polska pozyskałaby okrążyło 5.000.000 lub 6.000.000 Niemców. Powstaliby oni przeciw Polsce przy pierwszej nadarzającej się okazji. A gdyby byli deportowani, staliby się głównymi podżegaczami niemieckiego rewanzu.

"Przesunąć" całą Polskę na zachód jakby to musiało się stać, z zapewnieniem jej władania nad okupowanymi obszarami, a dalej wywiezienie pięciu lub sześciu milionów Niemców, jest równoznaczne ze stworzeniem stałego konfliktu między Polską a Niemcami.

Prawdą jest, że zmiana statutu Prus Wschodnich jest konieczne ze względu na strategiczne i polityczne bezpieczeństwo Europy wschodniej. Ale nie jest to sprawa tylko Polski ani też tylko Rosji. Jest to sprawa wszystkich Narodów Zjednoczonych. I one, jako całość, muszą powziąć decyzję.

Obowiązkiem Zjednoczonych Narodów będzie zaproszenie Polski do współudziału w przeprowadzeniu zmiany statutu Prus Wschodnich, bez względu na to, jaki miałyby być jej udział w ogólnym zadaniu utrzymania bezpieczeństwa w Europie wschodniej, a szczególnie na Bałtyku. Z uwagi na swe położenie geograficzne, Polska musi wzięść na siebie specjalne zobowiązania w stosunku do Prus Wschodnich.

Polska okaleczona, z rządem pod kontrolą rosyjską - obojętne czy bezpośrednią czy pośrednią, a tylko przystrojona szyldem "przyjazny rząd" /termin używany stale przez prasę rosyjską/ - taka Polska będzie jedynie państwem wasalnym. Szczegól-

nie gdy nie będzie zabezpieczenia przeciw Niemcom, jak tylko w potęgze rosyjskiej. Z drugiej strony, Rosja pozyska wielką siłę atrakcyjną. Trzymając w zastawie niemieckie terytoria, jakby to było w rzeczywistości /z wasalną Polską jako nominalnym powiernikiem/, Rosja każdej chwili byłaby w stanie - gdy zaistnieje nowa sytuacja międzynarodowa - zmienić swą politykę w stosunku do Niemiec, aby przechylić równowagę sił na korzyść swoją, a może i niemiecką.

Lecz musimy stwierdzić, że w taki układ Europejski wtłaczana jest nie tylko Polska. Układ ten nie odpowiadałby celom wojny, głoszonym przez Narody Zjednoczone, a już najmniej ze wszystkiego byłby zgodny z oczekiwaniami Zachodnich Demokracji.

Przez rozparcelowanie Jugosławii a szczególnie Serbii - najsilniejszej jednostki narodowej na Bałkanach, wreszcie przez okrojenie i osłabienie Rumunii, podobnie jak Polaki, Czechosłowacja pozostałaby całkowicie izolowana. Przemysł czechosłowacki rozrósł się pod panowaniem niemieckim ogromnie. Po zakończeniu wojny Czechosłowacja będzie czołowym krajem przemysłowym w Europie, ponieważ przemysł niemiecki zostanie w znacznym stopniu zniszczony /choć może być, że i czeskie zakłady przemysłowe ulegną zbombardowaniu/. W Czechosłowacji istnieje szeroko zakrojona współpraca z Niemcami, w rzeczywistości dużo większa niż we Francji.

W Polsce niema kolaboracji. Polska, której Armia Podziemna wykoleja niemieckie pociągi, niszczy składy i magazyny, wspomagając w ten sposób posuwanie się armii rosyjskiej, jest przedmiotem najostrejszych ataków i nacisków.

Czechosłowacja, najbardziej kolaborująca zśród wszystkich krajów sojusznicznych, jest najbardziej faworyzowana w Moskwie. Natomiast Polska najmniej kolaborująca, jest również najmniej faworyzowana.

Lecz czy oportunistyczny doktor Benes da w końcu korzyść dla jego kraju? Zgodnie z artykułem 4-tym paktu czesko-rosyjskiego, stosunki ekonomiczne między obu państwami mają być rozwinięte w możliwie największej skali, a poza tym każda ze stron udzie-

lić ma sobie wzajemnie wszelkiej pomocy gospodarczej.

Rosja posiada gospodarkę socjalistyczną, a Czechosłowacja gospodarkę indywidualną. Tego rodzaju stosunki, jak projektowane w art.4. paktu, nie są możliwe bez przeprowadzenia upodobnienia - "zglajszaltowania" dwóch systemów gospodarczych i, do pewnego stopnia, systemów politycznych. Jeżeli Polska wschodnia zostanie zamiektowana, Rosja będzie graniczyła z Czechosłowacją. Jeżeli zasady rasowe, jakie mają być stosowane wobec Polski, zostałyby zastosowane do republiki czechosłowackiej wówczas Czechosłowacja musiałaby być rozczłonkowana. Jedną część stałaby się rosyjska druga - niemiecka, następną z kolei - węgierska, podczas gdy dwie dalsze części - Czechomorawy i Słowacja korzystałyby z wątpliwej niepodległości.

W czasie gdy Polska, i Jugosławia znajdują się pod wstrząsającym naciskiem, Czechosłowacja traktowana jest z najwyższymi względami. Zaledwie jednak został podpisany traktat z Rosją, a Moskwa natychmiast przysłała Czechom ostrzeżenie. Powiedzieli im, że ich "narodowy ruch wyzwolenczy" wlecie się w ogonie wszystkich innych krajów okupowanych, chociaż istnieją potrzebne warunki dla prowadzenia masowej wojny partyzanckiej. Brak jest przewódców. Zbyt wielu Czechów wierzy, że tylko z zewnątrz może przyjść wyzwolenie z tyranii hitlerowskiej, a rozpowszechnianie tego przeświadczenia wzmacnia pasywne nastawienie Czechów. /"Wojna i Klasy Pracujące" i "Daily Worker" z 3 Stycznia 1943/.

Jeżeli będzie nadal prowadzona wyraźna akcja od Bałtyku do morza Egejskiego, w wyniku której Czechosłowacja pozostanie izolowana i na pewien czas zachowana, przy równoczesnym poddaniu Polski i Bałkanów wstrząsom społecznym i terytorialnym, - to Rosja stanie się panem centralnego obszaru przemysłowego Europy, a nawet innych krajów.

Mówi się, że Anglia nie może sobie pozwolić na kłótnię z Rosją. I rzeczywiście nie może. Ale i Rosja nie może sobie pozwolić na kłótnię z Anglią. Lecz zarówno dla Anglii jak i dla Rosji konieczne jest aby Anglia posiadała pozytywną i jasną linię polityczną. Nawet ogłoszone dotychczas przez Ro-

sję aneksje państw Bałtyckich, wschodniej Polski, Besarabii i Mołdawii - stanowią już ogromne posunięcia. Zabory te oznaczają kompletne zgładzenie trzech państw, które miały niepodległość w 1939 r. /Estonia, Łotwa i Litwa/ i okaleczenie dwu /Polska i Rumunia/. Dzięki tym zabocom, dwadzieścia dwa miliony Europejczyków znajdzie się pod obcym panowaniem. Ale trzeba dodać, że zabory te stanowią minimum żądań Rosji w stosunku do Europy.

Z wymienionych krajów, Polska jest sojusznikiem. Jedynym sojusznikiem, który pozostał wierny, gdy Wielka Brytania była osamotniona. Jedynym sojusznikiem, którego los jest pod opieką kolejnych gwarancyj, dawanych przez W. Brytanię. Lecz następstwa tego sięgają dalej niż przyszłość Polski, dalej niż przyszłość Rosji, Niemiec, niż przyszłość W. Brytanii - to przyszłość całej Europy. Oto dlaczego cała Europa ma zwrócone na zatarg rosyjsko-polski swe oczy.

JERZY PIETRKIEWICZ.

E.K.I.

OPOWIADANIE.

W piątek wieczorem, kiedy armaty przestały na przeszło godzinę ostrzeliwać wzgórza pod Cassino, do oddziału amerykańskiego, stojącego pomiędzy zgliszczami niewielkiej wioski, przyszedł żołnierz niemiecki i poprosił, żeby go wzięto do niewoli.

Amerykanie widzieli już wielu takich dezertersów, nie zdziwili się więc wcale. Odstawili go, obojętnie żując gumę, do oficera, który zajmował się przesłuchiwaniami jeńców.

Oficer miał przygotowaną listę stereotypowych pytań; już z góry wiedział, jakie usłyszy odpowiedzi. Po kilku zdaniach przekonał się jednak, że dezerters nie jest zwyczajnym dezertersiem. Człowiek, który przed nim stał, miał na piersiach Eisernes Kreuz erster Klasse i zapytany o przyczynę dezercji, pokazał palcem ten krzyż właśnie. Oficer amerykański wiedział doskonale, że E.K.I. nie dostaje się za byle co; pamiętał także, że pośród dezertersów, przez niego dotychczas przesłuchiwanym, nie natrafił jeszcze na odznaczony Krzyżem Żelaznym.

Spojrzał na jeńca uważnie, przez dłuższą chwilę przyglądał się krzyżowi niemieckiemu, potem rzucił oczy z powrotem na papier i odczytał na głos nazwisko: Robert Polotschek.

Robert Polotschek był synem Walentego Poloczka, rolnika ze wsi Zabórze nad Odrą. Ojciec wiedział, że był Polakiem, syn w chwilach sentymentalnych przypominał sobie tylko o wsi i rzece i uczucia swoje, dziwnie niepokojące i bliskie, określał słowem Śląsk. Kiedy oficerowie z 72 Infanterieregiment kręcili głowę nad pisownią jego nazwiska i starannie kaligrafowali "tsch", Robert uśmiechał się do broszurnie i rzucał tkomaczącą uwagę: Oberschlesisch!

Trudno byłoby nazwać Roberta Polotschka hitlerowcem. Wstąpił wprawdzie do Hitlerjugend, ale głównie dlatego, żeby dostać robotę. Matka opłakała nieraz jego mundur, kiedy przyjeżdżając na urlop na wieś, dawał go matce do oczyszczenia. Matka wiedziała, że Robert zrobił to wszystko ze wstydu. Wstydził się swego dzieciństwa, ojca, matki, kościoła z polskimi nabożeństwami, pieśni śpiewanych wieczorami nad rzeką, kiedy szli z dziewczynami pod szumem wierzb. Wstydził się - takie określenie znalazła matka. Robert na dnie duszy czuł co innego; jego uczucie miało barwę silną, paliło nie tak jak wstyd pali, dusząc gniew i rozpacz; ono rosło wyżej i szerzej, obezwładniało myśli, zadeptywało wspomnienia. Nie wstyd to, mamó, ale strach, nienazwany, niepojęty strach przed samym sobą.

Robert paradował po wsi w swoim mundurze, ale pod szumem wierzb nie odnajdował już dźwięcznych śmiechów i wysokich pieśni. Wyrwał się z kręgu zaklętego, z dziecięcego mistycyzmu, ale jednocześnie, odpychając od siebie sentyment przeszłości, odepchnął razem z nim ludzi, najbliższych towarzyszy zabaw, pierwsze zdobycze wiosennych flirtów. Był teraz sam, dojrzały decyzją, świadomy praktycznej wartości swego kroku, męski brutalną odpowiedzią, daną płaczącej matce i ponuro milczącemu ojcu.

Robert Polotschek zrozumiał wcześniej, że na jego drodze konsekwencje następują szybko po decyzjach, że skoro raz "tsch" zajęło miejsce "cz", to już trzeba skończyć na zawsze z medytacjami, namyśla-

niem się, ślamazarnym przeczekiwaniem niewyraźnych sytuacji. Polotschek oczekiwał wielu niespodzianek od przyszłości, ale to go właśnie najbardziej interesowało: jutro, jeszcze jeden nowy dzień, byle dalej od siebie wczorajszego i dzisiejszego, byle bliżej ku obiektywnej prawdzie zdarzeń.

Przestał przyjeżdżać do rodziców na urlopy. Nie było po co truć się kolejną z Nadrenii do małej wioszczyny nad Odrą. Łzy matki drażniły go coraz bardziej, ojca gotów był znienawidzić za to uparte milczenie, obojętność dziewczyn i kolegów szkolnych ostudzała szybko pychę początkującego karierowicza.

Ostatni raz posłał zdawkową kartkę z życzeniami świątecznymi na wiosnę 1939 roku. Feldzug w Polsce zawiódł jego nadzieje. Przyjechał z oddziałami, które nie powąchały prochu, okupować Podkarpacie. Z Polakami się nie stykał. Ani on tego nie pragnął, ani tym bardziej oni.

Robert przygotowywał się do wojny psychicznie. Wiedział, że cała jego przyszłość od niej zależy. Wierzył także, że pozbędzie się wreszcie starego balastu przeszłości, sentymentalnych skrupułów w walce o sprawę nieosobiste.

Dopiero po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej Polotschek znalazł się na prawdziwym froncie. Jechał po przestrzeniach słonecznej Ukrainy w ciepłej zażyłości z karabinem maszynowym. Nie myślał o politycznych problemach wojny, nie zastanawiał się nad rozwojem wypadków, wysłuchiwał komunikatów radiowych i rozkazów z ufną cierpliwością człowieka, który zna swoje zadanie, ale nie myśli o całości kampanii - bo i po co? Czy to od niego zależy?

Podobno tacy ludzie są najlepszymi żołnierzami. Dowódca 72-go Infanterieregimentu mógł to tradycyjnie przeświadczenie aktualnie potwierdzić, obserwując Roberta Polotschka.

Gdzieś tam za jakąś wielką rzeką, pod jakimś wielkim lasem Polotschek został wielkim bohaterem. Mówiono o nim nie tylko w 72-gim, ale i w 53-cim, ba! żeby tylko to... Przyjechali dziennikarze, korespondenci radiowi, znalazł się jakiś operator filmowy, no i wielki Robert trafił razem z innymi Robertami i Wilhelmami do stołecznych dzienników. do

reportaży radiowych. E.K.I. - tak, Eisernes Kreuz! Czego bo tam Polotschek z karabinem maszynowym nie wyczyniał; cytowano w reportażach jego myśli, odtworzano uczucia, budowano przy pomocy literackiej fantazji tak zwany psychologiczny "Hintergrund".

Raz, słysząc swoje nazwisko w radio, pomyślał Robert przez chwilę: a nuż matka albo ojciec tego wszystkiego słucha... I duma nagła rozbudziła rodzinne wspomnienia, nadała im innego sensu, przeszyciżyła dawny wstyd i lęk przed sentymentem. Co innego paradować w mundurze Hitlerjugend po wsi, a co innego nosić na piersiach E.K.I. Nawet ojciec musiały się zdumieć. Wojsko, to przecież coś! Ojciec służył też "przy wojsku". Miał szacunek dla munduru. Czy miał? Robert zapragnął nagle powrotu. Pokazać im siebie w sławie, w zwycięstwie nad przesądami wspomnień! Przekona się, co ojciec powie. Napewno nie będzie milczał. Tak, trzeba się przekonać co powie. Co cała wieś powie...

We Wrocławiu musiały się przesiadać. Na dworcu zaczepił go jakiś lotnik i spytał ciekawie czy on przypadkiem nie ten sam Polotschek, co to z jednym tylko karabinem maszynowym, przeciw... i tak dalej.

Polotschek potwierdził skwapliwie, że to on. Lotnik się rozczulił. Zaprosił go do bufetu. Wypili kilka kieliszków. Robert opowiadał, śmiał się, uderzał kompana po plecach i opowiadał. Przy barze poznał innych jeszcze lotników, marynarzy i piechurów. Jeden powiedział, że ma brata w 72-gim. Robert przypomniał sobie: Aha, to ten z nosem pyrkatym. Zginął - odrzekł sięgając po kieliszek - Für Vaterland! Rozmówcę zatknęło na chwilę. Zakręcił się w miejscu i wyszedł. Robert tego nie zauważył.

W wesołym nastroju jechał z Wrocławia do Zabórze. Zmierzczało już, kiedy stanął przed ojcową chałupą. Dom był na kłódkę zamknięty. W pobliżu domu natknął się na policjanta. Ten powiedział po prostu bez owijania w bawełnę, że ojciec i matka znajdują się w obozie koncentracyjnym. Nie pytał za co. Pytał tylko: gdzie są. - W Buchenwald - usłyszał.

Następnego dnia był już w Buchenwald. Musi ich

zobaczyć!

Po długich formalnościach, pytaniach, odpowiedziach i argumentach z obu stron, komendant obozu pozostał przy swej pierwszej decyzji. Tłumaczył się wieloma paragrafami, podawał motywy psychologiczne, tym nie mniej decyzja była ta sama: Robert nie zobaczy rodziców. Pan nie ma z nimi przecież nic wspólnego - powiedziała. Oni także o panu zapomniał, dodał po chwili.

I wtedy Robert Polotschek po raz pierwszy powołał się na swój Eisernes Kreuz. Przysługuje mi chyba jakieś prawo... Trzeba mieć wzgląd na moje odznaczenie. Nie po to człówek leżał w błocie i śniegu, żeby...

Komendant obozu uśmiechnął się grzecznie i powiedział: - Słyszałem, czytałem, naturalnie, że czytałem. Z karabinem maszynowym przecie...

Polotschek miał tego dosyć. Ryknął na Niemca, aż ten usiadł na krześle, trzasnął drzwiami i wypłynął na ulicę. Kiedy szedł na stację kolejową, żeby odjechać najbliższym pociągami do Wrocławia, minął go korowód wycieńczonych mężczyzn z łopatkami na ramionach. Poznał pośród nich ojca.

Stary Polotschek nie zauważył syna. Nie zauważył więc także jego E.K.I. Miał oczy wbite w ziemię.

Szedł powłócząc nogami. Robert usunął się na bok, wszedł w jakąś bramę i przeczekał, aż sylwetka ojca zniknęła za ogrodzeniem obozu.

Pociąg był już na stacji.

We Wrocławiu, gdy się meldował, powiedziano mu, że nie potrzebuje jechać na front wschodni. - Italia... Tam cieplej, nie? - głupio zażartował sierżant, który mu wręczał rozkaz. Janczar śląski popatrzał na swój Eisernes Kreuz i znów poczuł w sercu ten sam dawny, niezabliźniony strach przed samym sobą.

Pozbył się go dopiero po sześciu miesiącach, kiedy w piątek wieczorem przeszedł linie amerykańskie i poprosił jak żebrak, wyszydzony przez swoich i obcych, o niewolę.

Oficer amerykański napisał przy nazwisku dezertera: "odznaczony E.K.I."

Przedruk z Biuletynu Prasowego "Światłopolu".

Edited by J. Stahinski
Revised by "Go Szybać" 43, Bruntsfield Pl., Edinburgh.